

[Przeczytaj poprzednią część](#)

Wiem, że zabrzmiałoby to patetycznie z ust dziewiętnastolatka, ale jak zobaczyłem Michę i Grubego, to poczułem się jak „za starych dobrych lat”. Ćmiliśmy fajki pod pomnikiem tego, który zastał Polskę drewnianą, a pozostawił murowaną. Mało kto jednak pamięta, że oprócz cegły Kazek zostawił po sobie sporo nieślubnych dzieci. W każdym razie liczyliśmy nasze fundusze i planowaliśmy atrakcje na ten wieczór. W sumie uzbierało się prawie dwieście złotych. I to był pierwszy powód żeby się tej nocy zacząć poważnie obawiać. Takie kwoty, jak na bocheńskie warunki, przy trzech osobach, gwarantowały aż za wiele. Moje wątpliwości nie trwały jednak zbyt długo. Bywa tak, że jak poczujesz to powietrze, gdy słońce już zachodzi, poczujesz ten przyjemny, letni chłód, zobaczysz znajome twarze i w dodatku zdasz sobie sprawę z tego, że możesz ich długo z powrotem nie zobaczyć, to wtedy cały racjonalizm ląduje w koszu. Liczy się chwila, ta noc, teraz! Postanowiliśmy symbolicznie „zatknąć flagę” na możliwie każdej kultowej miejscówce, gdzie lubiliśmy popijać, i z którą wiązały się jakieś ciekawe historie. Takie przynajmniej były założenia. Zaczęliśmy od Skweru. Był to mały park naprzeciwko bocheńskiego liceum. Co prawda uwielbiała tutaj przyjeżdżać straż miejska i policja, ale miejsce było dobrze oświetlone, plus ławki, także pełen komfort. Zaczęło się. Pierwsza flaszka otwarta.

- I co ty Gruby będziesz robił w tym Olsztynie? – zapytał Micha.
 - Będę pływał i szukał potwora z Loch Ness! – uśmiechnął się szeroko.
 - Przecież jak on tam wskoczy, to cała woda wypłynie! – wtrąciłem swoje trzy grosze.
- Parsknęliśmy donośnym śmiechem. Micha polewał bardzo szybko, następna kolejka już czekała.
- Gdzie ty się tak z tą wódką śpieszysz Micha? – spytałem.
 - Do planu atrakcji na dzisiejszą noc wpisałem coś ekstra. Ale o tym dopiero jak wypijemy. Na trzeźwo nic z tego.
 - No weź powiedz! – rozochocił się Gruby.
 - Pij, a nie jak baba mi tu będziesz jęczał – stanowczo zganiał go Micha. Piliśmy. Alkohol zaczął działać. Gruby z Marcinem podeszli pod drzwi ogólniaka.
 - Patrz, kamera tam jest – powiedział cicho Gruby, imitując podejrzliwy głos detektywa.
 - Przetawmy ją, bo się na nas patrzy! – odparł Micha, rozglądając się bacznie jak schizofrenik.
- Gruby podsadził Marcina, a ten szybko zaczął się o fragmenty elewacji. Sprawnie wygramolił się na tyle wysoko, że mógł swobodnie operować okiem wielkiego brata. Przekręcił urządzenie o dziewięćdziesiąt stopni w dół, tak żeby nie obejmowało nic więcej, oprócz kawałka ziemi, zaraz pod drzwiami.
- Misja wykonana – powiedział Gruby i zsalutował energicznie w moim kierunku.
- Pierwsza siódemka poszła. Nie byliśmy jakimiś alkoholikami, czy coś, więc wódka robiła swoje. W końcu Micha zdecydował się zdradzić szczegóły tajnego planu.
- Bo wiecie, tutaj na Mikołaja remontują wieżę kościelną. Jest ciemno, prawie północ, ja bym z chęcią zobaczył Bochnie z takiego punktu widokowego i wypił tam piwko.
 - Jesteśmy podpici. Jak się komuś coś stanie, to co wtedy? – zapytałem.
 - Ja nikogo nie zmuszam – obruszył się Micha – Nie, to nie. Wyjdę sam!
 - No dobra – Gruby szturchnął mnie pod żebra – przecież to rusztowanie, z tego co pamiętam wygląda całkiem solidnie. Nic się nie stanie.

Pusto i cicho. Żywej duszy w pobliżu kościoła. Była to potężna gotycka budowla z elementami barokowymi. Obok znajdowała się zabytkowa dzwonnica, ale ona nas nie interesowała. Micha szybko wspiął się po metalowej siatce, która miała odgradzać teren budowy od nieproszonych gości. Teraz już

stał na rusztowaniu i czekał. Musiałem Grubemu trochę pomóc, ale w końcu się udało. Teraz pięliśmy się w górę po rusztowaniu, które układało się w kształt spirali. Wystarczył jeden nieuważny krok, i można było wypaść za burtę. O ile zewnętrzna część konstrukcji była solidnie zabezpieczona, to od wewnątrz, od strony wieży, jeden błąd mógł kosztować życie. W końcu się udało. Podczas naszej wspinaczkowej wędrówki nikt nie ważył się odezwać nawet słowem. Byliśmy za bardzo podnieceni. Przed nami piękny widok. Oświetlone ulice Bochni z tej perspektywy idealnie uwidoczniły górzysty charakter miasta. Na rynku rozłożone parasolki, nieliczni przechodnie zmierzający w różnych kierunkach i ten symbol, czyli Kazimierz Wielki, dumnie stojący w centrum miasta. Nasz mały świat z tej perspektywy wydawał się jeszcze mniejszy. Odległości, które codziennie pokonywaliśmy w różnych celach z niemałym wysiłkiem, teraz wydawały się niedorzecznie błahe. Była ciepła, sierpniowa noc, mieliśmy alkohol, papierosy i brak jakichkolwiek zobowiązań względem jutra.

– Gruby weź wyciągnij piwo z plecaka – powiedział Micha.

Otworzyliśmy butelki, a ja w międzyczasie poczęstowałem papierosem. Mało jest chwil, które pamięta się całe życie, ale teraz akurat wiedziałem, że kiedyś, jak moje dzieci podrosną na tyle, że ich ta historia nie zgorszy, to im o tym opowiem.

– Szkoda mi Adriana. Gdyby nie ten głupi wypadek, byłby teraz z nami – powiedziałem.

– Sorry Aleks, ale ty jesteś chyba ostatnią osobą, która powinna się udzielać w tym temacie. Miałem tego nikomu nie mówić, bo i po co rozdrapywać świeże rany. Ale pewnie się prędko nie zobaczymy, a dobrze by było, żeby się ta atmosfera jakoś oczyściła zanim się rozjedziemy po świecie. Wtedy, Adrian, widział jak się kochałeś z Ewką. Wypadł jak oparzony z tamtego pokoju, nie wiem czy Ewka go wtedy zauważyła czy nie, ale wnioskuję, że ty na pewno nie. Ja wyszedłem z kuchni i tylko mi mignął przed oczami, jak zbiegał ze schodów. Wyglądał tragicznie. Nie dogoniłem go, nie zdążyłem, dalszy ciąg już znacie.

Dopiłem szybko swoje piwo i wyciągnąłem następne.

– Mam was przeprosić? Mam iść do rodziców Adriana i powiedzieć, że to przeze mnie ich syn zginął? Czego ode mnie oczekujecie?

– Wyluzuj. Czasami nie mamy wpływu na to, co się dzieje. Teraz możemy tylko wypić zdrowie za Adriana. Zresztą jak ktoś miałby kogoś przeproszać to Ewka. Ona ma coś z głową, z jednym idzie do łóżka, drugiego trzyma za rękę, a trzeciemu wyznaje miłość.

Stuknęliśmy się butelkami i popatrzyliśmy w gwiazdy. Nie wiem czy niebo istnieje, ale bardzo bym chciał jeszcze Adriana kiedyś spotkać i mu kilka rzeczy wyjaśnić.

– Jedno życzenie – powiedział Gruby na głos. – Ty zaczynasz Micha.

– Chcę być nieśmiertelny.

– Twoja kolej Aleks.

– Ok. Niech będzie. Chcę być skurwysynem i się niczym w życiu nie przejmować.

– Jakies takie rozbudowane masz to życzenie – skwitował Gruby.

– Bo ja złożony chłopak jestem!

Micha zaczął się śmiać.

– To akurat prawda, lubisz komplikować!

– Teraz twoja kolej Grubasie! – powiedziałem.

– Chciałbym za kilka lat spotkać się w tym samym gronie.

Jakoś tak się złożyło, że potem Gruby wyciągnął kolejną flaszkę. A gdy kończyliśmy pić, jednomyślnie stwierdziliśmy, że schodzenie z wieży w tym wstanie to samobójstwo. Postanowiliśmy przeczekać kryzysowy moment. Wyznaczaliśmy warty. Dwie osoby miały spać, jedna miała odmierzać półgodzinne cykle, po których następowała wymiana nieszczęśnika. System wydawał się sprawdzać, ale do czasu...

Biiiiiiim – baaaaaam, Biiiiiiim – baaaaaam.

Uwierzcie mi. Nie chcielibyście zostać obudzeni na kacu dzwonami wzywającymi wiernych do przyjścia na mszę. Do tego doszła świadomość, że przecież jest już jasno, musimy stąd jakoś zejść, najlepiej niezauważeni. Jak się domyślacie nie musiałem budzić swoich kompanów. Kościelna orkiestra zrobiła to za mnie.

– No to zajeeeeebicie! – krzyknął Micha.

– Weź się zamknij – uciszył go Gruby. – Pozbierajmy te butelki i się zmywamy.

Skradaliśmy się jak złodzieje, którzy przypadkiem chcieli obrabować komisariat policji.

– Ludzie idą na mszę – syknął Micha – musimy jeszcze chwilę przeczekać.

Gruby specjalnie się powagą sytuacji nie przejmując, zapalił papierosa. Micha chciał coś powiedzieć, ale gdy winowajca podetknął mu pod nos świeżą ramę Marlboro, Micha tylko w milczeniu wziął fajkę. Siedzieliśmy sobie tak na tym rusztowaniu i czekaliśmy. W końcu nabożeństwo się zaczęło a my przystąpiliśmy do szturmowania ogrodzenia. Trzeba było zrobić to jednocześnie, bo na ulicy zaczęło przybywać samochodów i ludzi. Nie mieliśmy czasu na subtelne, pojedyncze przeskakiwanie siatki. Ktoś się na nas dziwnie popatrzył, ktoś tam krzyknął, ale udało nam się całkiem zgrabnie pokonać ostatnią przeszkodę i puścić się biegiem w kierunku dworca kolejowego. Nie przebiegliśmy może dwustu metrów, jak cała ta ucieczka wydała nam się trochę bezsensowna. Bo i niby przed kim mamy uciekać? Przed księdzem?

Byliśmy już pod domem Michy. Już mieliśmy się pożegnać, gdy nagle ten stanął jak wryty. Przerazony powoli wskazał palcem gdzieś na prawo.

– Patrzcie tam..., patrzcie!

[Przeczytaj ostatnią część](#)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Wiktor Orzel, dodano 12.09.2012 21:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.